

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

10

Stracił do tego stopnia panowanie nad sobą, że zapominając o chytrości, rzekł porywczo:

— Pani dobrodziejka egzaltuje się, przesadza, bardzo może szlachetnie, ale szczerze powiedzieć muszę — po kobiecemu...

Pani Krystyna drgnęła zdziwiona.

Potyrowski przyzwyczaił ją do swoich pochlebstw i komplementów, spodziewała się więc i teraz słów uznania i podziwu...

Ton głosu Potyrowskiego zabrzmiął jej w uszach przykrym zgrzytem. Spojrzała uważnie na swego towarzysza. Wydawał się w tej chwili mniej sympatycznym, niż zwykle.

Po raz pierwszy uderzyło ją, że Potyrowski ma w oczach jakieś niemile, zielonawe ogniki.

Spostrzegła także, że wytworna elegancja „pana inżyniera” straciła dużo na swej świeżości. W tem podniszczonym paltocie i wytartym cylindrze robił wrażenie bardzo mizernej i trochę śmiesznej figury.

Pani Wolska spojrzała na Potyrowskiego ostro i bardzo chłodno zapytała:

— Jak pan to rozumie?

— Potyrowski opamiętał się już i kłął w duchu swoje uniesienie, w którym nieopatrznie uchylił rąbek swej maski.

— To może kaprys chwilowy — pomyślał — trzeba pochlebiać tej głupiej babie i podbijać jej „bębenka”, a w odpowiedniej chwili da się to wykorzystać.

Zawrócił też z miejsca, starając się wypróbować bronią pochlebstwa naprawić poprzedni błąd.

— Jak ja to rozumiem?... Ależ zupełnie prosto, pani dobrodziejko... Bez wątpienia, że to zadanie, które pani dobrodziejka sobie postawiła, jest szczerne, szlachetne, godne złotego serca kobiecego, podniosłego umysłu pani dobrodziejki. — Ja służę moją skromną radą i pomocą w tem pięknym dziele... Chciałem tylko zaznaczyć, że to cel nie jedyny, że burzliwe czasy, w jakich żyjemy, inne jeszcze cele wysuwają...

Pani Krystyna odczuła jednak fałszywy ton w słowach Potyrowskiego. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może niechęć Anielki do Potyrowskiego nie była tak bardzo nieuzasadnioną, jak jej się dotychczas wydawało.

Potyrowski pomimo, że pani Krystyna nie zachęcała go więcej ani jednym słowem, poszedł z nią do księgarni. Przy zakupnie książek mówił bardzo dużo, doradzał, wypowiadał swoje zdania i sądy, starając się okazać „użytecznym i kompetentnym”.

Ale nieufność, która zakiełkowała w umyśle pani Wolskiej, nie ustępowała. Pani Krystyna zachowywała się grzecznie, ale chłodno. W wyborze książek polegała wyłącznie na własnym zdaniu, zwłaszcza kiedy spostrzegła wkrótce, że Potyrowski usiłuje podsuwać jej tylko najtańsze wydawnictwa.

Potyrowski odprowadzając panią Krystynę, spodziewał się zaproszenia i zawiódł się.

— Psiakrew! — zaklął pan „inżynier” — A to pech!... Nawet na „składkę” nie można jej było dzisiaj naciągnąć!... No, no, moja pani, niechże ci się nie zdaje, że Potyrowskiego można usunąć tak sobie machnięciem ręki. Porachujemy się jeszcze, jeżeli nie w ten, to w inny sposób...

Potyrowski, idąc ulicą, obmyślał plan dalszego swego postępowania, które go miało przywrócić do łask i zaufania bogatej wdowy...

Gdyby się to nie udało — ha, wtedy...

W tej chwili spostrzegł mijającego go w przechodzie Koncewicza.

Anemiczny młodzieniec udał, że nie widzi Potyrowskiego i nie uklonił się. Potyrowski pospiesznie zdjął z głowy swój wytarty już nieco cylinder i z wyciągniętą ręką podbiegł ku Koncewiczowi.

— Kochanego pana witam! Tak dawno nie widzieliśmy się.

Koncewicz był zdziwiony tą niezwykle serdecznością i trochę nieufnie spojrzał na „inżyniera”, ale wyciągniętą dłoń uściśnął.

— Jakże się cieszę, że pana widzę... Stęskniłem się prosto za pańskim towarzystwem...

Koncewicz zdumiał się — ale leniwa myśl jego nie mogła i nie usiłowała nawet zgłębić powodów tej nagłej zmiany.

— Dawno nie widziałem już pana — ciągnął dalej Potyrowski, ujmując młodzieńca z przyjacielską poufałością pod ramię — w towarzystwie pani

Wolskiej i jej siostrzenicy... Tak... tak... ktoś tam wpływa fatalnie na te panie... Ten Królewski, ten jakiś tam Montwiłł — nie wiadomo, kto to właściwie jest — wcisnął się do tego domu i obalamuca naiwne kobiety... Staram się wprawdzie przeciwdziałać temu, a pochlebiam sobie, że cieszę się zaufaniem pani Wolskiej... Już tyle razy mówiłem, tłomaczyłem pani Krystynie, że jedyną odpowiednią partią dla jej siostrzenicy byłby młodzieniec tak skromny, dystyngowany, inteligentny, jak pan... Daruję pan, że tak szczerze o tem mówię, ale spostrzegłem pańskie zamiary, a ponieważ żywię dla pana specjalną sympatię...

Koncewicz własnym uszom nie wierzył.

— Jakto, to pan namawiał panią Wolską, żeby wydała za mnie pannę Anielkę?...

— Ale ileż razy... Chyba nie omyliłem się, konstatując, że pańskie tajemne życzenia w tym się zwracają kierunku... Nic dziwnego zresztą... Panna niczego, można nawet powiedzieć szczerze, bardzo ładna, no i posażek niegorszy, wcale niegorszy... Chciałem więc panu, o ile możności, dopomóc...

Zdumienie Koncewicza nie miało granic.

— No, wie pan! — Jaby był tego nigdy nie przypuścił... Mnie się zdawało przeciwnie, że pan chce mnie stamtąd wysadzić, a sam ożenić się już nie wiem z kim, z panną Anielką, czy z samą panią Wolską...

Potyrowski wybuchał głośnym śmiechem.

— Co pan mówi, panie drogi?! Ja i żenić się?! Ha! ha! ha! Cenię wysoko panią Wolską, lubię jej towarzystwo jako miłej osoby z mojej sfery, sympatyzuję z panną Anielką, ale myśl o małżeństwie w tym wypadku jest absurdem... Panie kochany, ja mam narzeczoną, o którą dręczę mnie ciągle trwoga i niepokój... Niestety, musiała zostać w Galicyi, bo rodzice jej nie chcieli opuścić swoich dóbr... Nawiasem mówiąc to jedna z najposażniejszych panien w Galicyi... Więc pan mnie uważał za konkurenta?! Nie, doprawdy, to paradne!...

Koncewicz innemi już zupełnie oczyma zaczął patrzeć na Potyrowskiego. Dochodził do przekonania, że to bardzo sympatyczny człowiek.

— No widzi pan, jak to można się omylić. Z pana taki dobry, porządny człowiek, a ja zupełnie inaczej o panu myślałem... A niektórzy znajomi moi to nawet mówili, że z pana to numer, ptaszek...

Potyrowski nie zdradzał ani jednym drgnieniem twarzy, że ostatnie słowa zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Lekceważąco machnął ręką.

— Ach! Drogi panie, zawiść ludzka jest niezgłębiona i nieograniczona... Nie troszczyłem się o nią nigdy... A zresztą stara, złota zasada mądrości powiada: wartość człowieka mierzy się lichością jego nieprzyjaciół... No, niema o czem mówić, szkoda słów... Może lepiej wstąpilibyśmy gdzie na piwo? Tak przed obiadem nie zaszkodzi.

— Ależ najchętniej, pójdziemy chyba do „Fleku”. Tam najlepsze czarne piwo!

— Doskonale! Ale ja pana proszę — zastrzegam się Potyrowski.

— Ależ nie, nie! — protestował rozczulony odkryciem nowego przyjaciela Koncewicz — Niechże mi pan zrobi tę przyjemność i będzie moim gościem.

— Ależ drogi panie Witoldzie...

— Panie Alfredzie, proszę pana...

— No, jeżeli drogi pan tak nalega, to na przypieczętowanie naszej znajomości niechże będzie... Powetuję to sobie innym razem!... Chodźmy!

— — — — —

Do pokoju, który obecnie zajmował Potyrowski, weszła Wikcia Pasternak. Krytycznym spojrzeniem objęła ściany pomalowane na kolor pomidorowy i odrapane już trochę, blaszana miednicę na stołku, stare meble z wypełzłą politurą i wzruszyła ramionami.

— Phi! To z panem krucho, „bryndza”. Dawniej u pana inaczej wyglądało... No, to mnie się lepiej powodzi.

Istotnie w powierzchowności Wikci zaszły korzystne zmiany... Miała na nogach nowe buciki, ubrana była w zgrabnie skrojoną spódnicę, białą bluzkę i pożądny żakiet... Głowę miała owiniętą miękkim, granatowym szalem...

Były to wszystko podarunki hojnej zawsze dla swojej służby pani Wolskiej...

Zmieniła się także twarz Wikci... Cera straciła dużo ze swej żółtości, dziewczyna wybielała, utyla nieco, nabrała rumieńców... Uczesana była skromniej, w czem było jej daleko więcej do twarzy.

Potyrowski siedział przy stole i nerwowo kręcił papierosa.

— Siadaj Wikciu...

— Dawniej to mnie pan nie prosił siadać...

— Słuchajno, nie bądź przemądra i nie zapomi-

naj komu zawdzięczasz to, że ci się teraz dobrze powodzi... Pamiętaj także o tem, że jeżeli zechcę, to możesz w każdej chwili stracić służbę!

— O! A to niby jak, kiedy pani ze mnie zadowolona?! Ja się bardzo staram...

— A jakbym ja tak pani opowiedział pewne rzeczy o tobie i Ignacu?...

Pogróżka podziałała. Wikcia przestraszyła się i spokorniała.

— Ale pan tego nie robi, pan nic nie powie, mój panie...

— Nie powiem, jeżeli będziesz się wobec mnie zachowywała jak należy!

— Już będę, mój drogi panie, tylko niech ja zostanę... Coby Ignac powiedział na to, jakbym ja takie dobre miejsce straciła!

— No dobrze, a teraz odpowiadaj na moje pytania — tylko szczerą prawdę... nie próbuj kłamać...

— Ja prawdę powiem! Co pan chce wiedzieć?

— Czy słyszałaś kiedy, żeby pani albo panienka rozmawiała o mnie?

Wikcia zamyśliła się przez chwilę, przypomniała sobie.

— Nie! pani nigdy nie mówiła o panu... Nie słyszałam... Tylko ten młody pan, blondyn, taki ładny, co nieraz do nas przychodzi, to mówił do panienki, że pan jest... Jak to on jakoś tak śmiesznie pana nazwał... Zaraz sobie przypomnę... Aha! Już wiem... jendy... jendywidium... Nie wiem, co to znaczy...

— Hm... tak... A co panienka na to odpowiedziała?

— Nie dosłyszałam, bo mnie pani właśnie w tej chwili zawołała.

— A kto tam bywa u pani? Pan Koncewicz przychodzi?

— Przychodzi, ale niebardzo często... i zawsze tak wyspekuluje, żeby na obiad albo kolację trafić. Potyrowski westchnął na wspomnienie wykwinutego jedzenia u pani Wolskiej.

On teraz zmuszony był jadać obiady bardzo podejrzanej jakości w trzeciorzędnej garkuchni.

— No, któż tam więcej bywa? — pytał dalej.

— No ten ładny młody pan, co mu panie mówią: panie Stanisławie, różne panie i panienki i kilku starszych panów... Bardzo godni panowie, nigdy nie odejdą, żeby porządnego tryngla nie zostawili...

— Więcej nie bywa nikt?

— Nikt!

— A pani Wolska co robi teraz?

— O! pani to już całkiem zwaryowała z tymi żołnierzami, co po szpitalach leżą!... W pokoju pani to teraz wygląda, jak w jakim sklepie... Czego tam niema... Książki, gazety, owoce, cukierki, flaszki wina i koniaku, no trudno wyliczyć wszystko!... Codzień nowe rzeczy przynoszą ze sklepu, a pani to wszystko do szpitalów wywłóczy... Jak też jej pieniędzy nie szkoda... Ileby to zato można kupić ślicznych bluzek, jedwabnych pończoch, kapeluszy z piórami, bucików „szewro” okładanych lakierem... No, ale wiadomo, że bogate panie, to zawsze muszą mieć jakiegoś bzika — zakończyła Wikcia...

— Psiakrew! — syknął przez zęby Potyrowski.

Opanował się jednak, nie chcąc się zdradzić przed dziewczyną i spokojnie mówił dalej:

— Pamiętaj Wikciu, uważaj czy i jakie listy pani dostaje... Jakbyś mogła skrócić jaki list i przynieść do mnie, to byłoby najlepiej... Zapamiętaj sobie, kto u pani bywa... Jeżeli tam mówiono coś o mnie, to masz mi zaraz donieść.

Małe oczka Wikci zaśmiały się chytrze.

— Ale to ci pan coś spekuluje!...

— To nie twoja rzecz! Masz robić, co ci polecę, bo inaczej pożegnaj się z Ignacem...

— Nie! nie panie złoty, ja już to wszystko zrobię, co pan chce, żebym tylko tej służby nie straciła i żeby mnie Ignac nie opuścił!... To niech już będzie sekret za sekret!

— Zgoda! — odpowiedział zadowolony z wyniku rozmowy Potyrowski.

ROZDZIAŁ XI

— Wyobraź sobie, Anielko — opowiadała z ożywieniem przy obiedzie pani Krystyna siostrzenicy — co za bajeczny typ poznałam dzisiaj w szpitalu na Vinohradach!... Młody chłopiec, ma dwadzieścia pięć lat najwyżej, murarz z Krakowa. Jeden z tych dzielnych „trzynastaków”, „krakowskich dzieci”, o których się tyle słyszy i czyta. Powiadają ci, niezrównany ma sposób mówienia!... Był ciężko ranny w głowę, więc pytam go: „Pójdzie pan jeszcze do pola?” A on mi na to: „A cóż, może pani za mnie pójdzie?”

Pani Krystyna ze śmiechem usiłowała naśladować specjalny akcent gwary przedmieść krakowskich.